ROK CZWARTY.

№ 33.

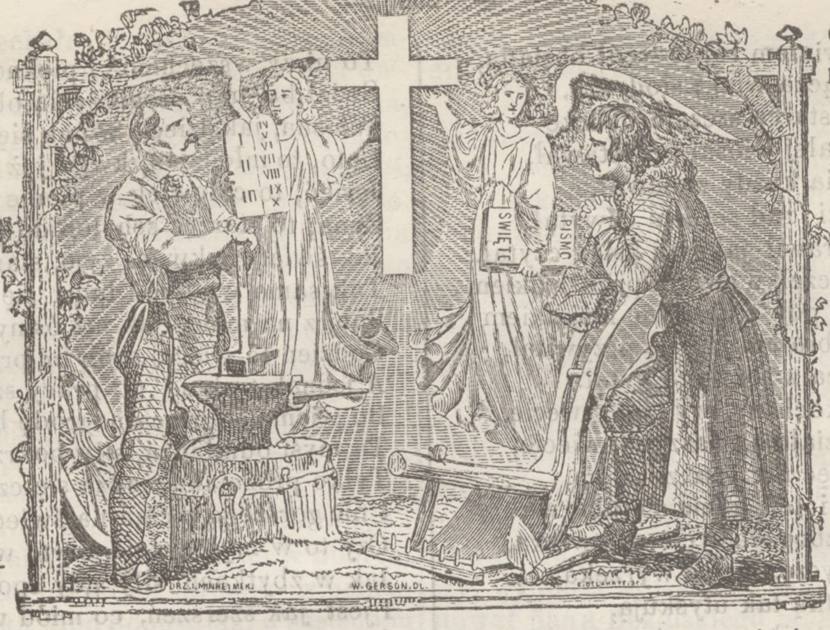
WARSZAWA.

D. 2 (14) Sierpnia.

1859.

Niedziela

9ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie: lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Panie, niech uszy miłosierdzia Twego będą gotowe ku wysłuchaniu modłów pokornie błagających Cię; a jako proszącym żądanych rzeczy udzielasz, tak spraw, iżby się tego tylko dopraszali, co Tobie się podoba im udzielić. (Kollekta na Niedzielę 9tą po Świątkach).

W pracy szczęście prawdziwe.
Gawęda.

Byłoto w maju, a w takiej porze
Już się zieleni wokoło zboże,
Już gęstym liściem stroją się drzewa;
Wiosna po łąkach kwiaty rozsiewa,
I kędy spojrzeć, cała przyroda
Tak wdzięczna, świeża, jak panna młoda.
Staruszek z śnieżnym włosem na czole
Wyszedł z swej chaty obejrzeć pole,
Co po nim wnuki już uprawiały;
Tuż obok niego szedł chłopiec mały
Jego prawnuczek, jak ptaszek zwinny,
A chociaż jeszcze w lata dziecinny,
To za swawolą płochą nie biegał,
Ale do starca myślą przylegał,
I topiąc w niego modre swe oczy,
Jak gdyby w jasnej nieba przezroczy,
Chciał dojrzeć wszystko, słuchał ciekawo,
Co starzec mówił; każdą myśl prawą
Na dnie swej duszy zwolna układał.
Starzec się przed nim jakby spowiadał,
Coraz się nowsze myśli budziły,
W pamięci dawne lata ożyły,
Kiedy to siła młodością grała,
I przyszłość doń się uroczo śmiała.
A dziś, jak drzewo burzą zachwiane,
Tak burzą życia siły stargane;
A jednak skroń ta wiekiem zorana
Jeszcze w myśl jędrną była ubrana,
W myśl tak młodzieńczą, że z rysów twarzy
Widno, jak ogień uczuć się żarzy,
I zpoza źrenic w iskry wybucha;
Choć w wątłem ciele, miał on moc ducha.
Słyszeć go było, jak on zabawiał
Prawnuki swoje, jak im rozprawiał
O swej wojaczce po różnych krajach,
Przeróżnych ludach, dziwnych zwyczajach,
To nieraz w święto cała gromada

Jak lipę z kwiatem rój pszczół obsiada,
I z niej wysącza woń i słodycze,
Tak i przed starca szczere oblicze
Rój ludu z całej wioski przystawał,
Różne pytania każdy zadawał,
A odpowiedzi rad sercem chwytał,
Bo starzec prawił jakby z ksiąg czytał.
Otóż prawnuczek z swoim pradziadkiem
Idąc na pole, gdy z każdym kwiatkiem
Tak jakby z bratem już się przywitał,
Stanął i starca z rozwagą pytał:
— Dziadku kochany, wy co to wiecie,
Co się tam działo na naszym świecie,
I wasza pamięć tak jeszcze żywa,
Powiedzcie mi też, gdzie się ukrywa
Skarb, co wzbogaca życie człowieka,
Boć nieraz słyszę, ojciec wyrzeka,
I nieraż z matką tak utyskują,
Że nadaremnie siły marnują,
I tylko czują niedolę srogą,
A skarbu nigdzie znaleźć nie mogą!
— Chłopcze, odrzeknie mu pradziad stary,
W twoich rodzicach znać mało wiary,
Że tak zwątpienie szczepią w młodzieży.
Wiedz, dla człowieka wielki skarb leży
W usilnej pracy, w zdrowiu i cnocie.
Rolnik gdy z chęcią choć w czoła pocie
I z wiarą w Boga szczerze pracuje,
Dla siebie skarby w ziemi znajduje.
O! ziemia skarbem, rzuć w nią po ziarnie,
Za jedno dziesięć rolnik wygarnie,
Rzuć w nią z owocu ziarneczko małe,
A wzrośnie z niego drzewo wspaniałe;
Zasadź roslinę, a w każde lato
Za pracę plon ci odda z zapłatą.
Kto od dzieciństwa pracę polubi,
Grosza i czasu w zbytkach nie gubi,
Ziarnko do ziarnka miarkę mu zmnoży,
I grosz do grosza tysiąc przysporzy.
Czem myśl u mędrca, tem u rolnika
Ręka, co skarby pracą odmyka.
I rolnik mędrcem; nieraz on okiem
Wodząc w noc po tle nieba szerokiem,
Widzi po ruchu gwiazd lub księżyca,
Jaka dla ziemi tam obietnica;
Wie, czy ją słońce w blask rozweseli,
I czy pogodę Bóg jej udzieli,
Czy deszcz porosi, czy grad nań spadnie;
Jak w księdze czyta na niebie snadnie.
O! bo przyroda, ten namiot Boży
Kiedy się oku człeka roztworzy,
To ujrzy wszechmoc i piękność razem.
Swiat bo, mój drogi! życia obrazem:
Wiosna, jak dziecię w pąk się spowija,
Lato, to młodzian, kwiat już rozwija,
Jesień, to człowiek w plonie zasobu,
Zima, to starzec schylon do grobu.
Jak świat rozkwita, żyje, starzeje,
Tak samo wpośród ludzi się dzieje.
Spojrz na mnie, jak już ósmy znak krzyża
Codzień to więcej grób mi przybliża,
A jednak tęsknię do pracy szczerze,
Bo wiem, że praca nagrodę bierze.
Ta myśl odmładza, siły pokrzepia;
Tylko próżniaka nędza się czepia,
I nic gorszego niema na świecie,
Czy to w mężczyznie, czyto w kobiecie,
Jak w zbytkach siły gdy sponiewiera,
I jest jak szerszeń, co miód wydziera
Skrzętnym pszczołeczkom, a przecież one
Często na troski są wystawione,
Gdy za słodyczą lecąc w podróży,
Nieraz nad niemi niebo się schmurzy,
I nieraz skrzydła zmoczą im deszcze;
To one jednak po ziemi jeszcze
Grzebiąc się, miodu w kwiatkach szukają,
Z jakąż radością do dom wracają,
Gdy w pyszczku, w nóżkach, na sobie wszędzie
Każda jak może słodycz zdobędzie.

—

Z mowy pradziadka prawnuczek poznał,
Że człowiek, aby szczęścia tu doznał,
Winien pracować przy silnej woli,
A Bóg mu skarby zbierać dozwoli
Z tej ziemi naszej, co jak macierza
Nakarmia ptaszki, dzikiego zwierza,
I pana swego człowieka żywi;
O! tylko w pracy ludzie szczęśliwi.

Źle zrozumiane szlachectwo.

Wieś Parzyce w powiecie Łęczyckim położona, przed ośmdziesięciu laty była zamieszkała przez drobną cząstkową szlachtę. Liczyła osady piętnaście dymów, a małe szlaki gruntu tu i owdzie porozrzucane, oddzielone były od siebie wąziutkiemi miedzami. Na pierwszy rzut oka nim się wjechało do wsi, można było poznać, kto jest właścicielem tej majętności.

Gdy się wjechało do wsi, widać było rażący nieład i zaniedbanie. Chałupy tu i owdzie porozrzucane bez żadnego ogrodzenia, drzewka żadnego, bądź owocowego, bądź topoli lub wierzbiny, w całej wsi nie znalazłeś; wszędzie pustka i opuszczenie panowało. W takich to lepiankach mieściła się szlachta parzycka. Ale mój Boże! zajrzeć dopiero było do izby której z chałup, ileż tam niechlujstwa i nieporządku znalazłeś? Jejmość obdara z dziećmi brudnemi, nie wzięła się do żadnej cięższej roboty, ale tak wałęsając się od kąta do kąta, od ściany do ściany, całe dnie w próżniactwie przepędzała; jegomość mąż wysypiał się do ósmej godziny zrana, a biedne szkapki i mizerne krówki zębami dzwoniły i widocznie marniały, stojąc głodne w obórce. Niechno jednak przyszedł jarmark w pobliskiem miasteczku albo odpust jaki w sąsiednim kościele, wtenczas dopiero zobaczyłeś i wiele nasłuchać się mogłeś, co tam pan brat szlachcic z wsi Parzyc z godną swoją połowicą w karczemce dokazywał?.. Ostatnią ćwiartkę zboża wywieziono na sprzedaż, sprzedano i krówkę jak ziarna zabrakło, aby przecie pokazać, że co pan brat szlachcic na fortunce, to nie ciemny chłop na zagonie, który od młodości do pracy jest przeznaczony, a pan szlachcic do swobody... I śmieszno było nieraz słuchać, kiedy owa szlachta Parzycka dobrze już podochocona, z zapałem dowodziła, że każdy szlachcic po urodzeniu zaraz patrzy na oczy, a chłop przeciwnie przez dziewięć dni od urodzenia jest ślepy, dopiero dziewiątego dnia przegląda na oczy; ztąd też chłopów nazywali ślepymi chamami.

A cóż powiem o nienawiści i zazdrości, jaka tu panowała? Niech jeno gęsi pani Janowej przeszły miedzę pana brata sąsiada Jacentego, albo przypadkowo jeden drugiemu wozem rolę przejechał, dopieroż były za to kłótnie, przekleństwa, wymysły najszpetniejsze, a w ostatku pozwy i procesa. Duma obrzydliwa i jakieś państwo źle zrozumiane przygniatało ową szlachtę. Razu jednego przejeżdżał przez wieś Parzyce jakiś pan w cztery konie powozem, a że przez wieś żadnej prostej drogi nie było, bo przy każdej prawie chałupie była droga, i te razem tak się dziwnie krzyżowały, że się furmanowi zmieszało w głowie, a pan chcąc wyjść na czysto z tej plątaniny, spotkawszy przy jednej chałupie stojącego człowieka, zapytał go:

— Mój przyjacielu, powiedz jeno proszę cię, którędy ztąd droga prowadzi do Korytowa, bośmy ją tu we wsi zgubili?

— A komuż to pan mówisz przyjacielu? odpowie zuchwale ów człowiek przy chałupie; ja taki szlachcic na moim zagonie, jak i waspan choć powozem jeździsz. Ja nie jestem przyjacielem, tylko panem Janem Bękalskim, i tak mnie pan mianuj, jeśli chcesz wiedzieć o drodze, a inaczej, to sobie jedź, gdzie cię oczy zaprowadzą.

— Mój szanowny panie Janie Bękalski, ozwie się ów pan, widząc, że inaczej sobie nie poradzi, proszę pana powiedz mi, którędy ztąd droga prowadzi do Korytowa?.. i to rzekłszy, wydobył tabakierkę z zanadrza i poczęstował pana Bękalskiego tabaką.

— A... tak, to rozumiem, odpowie pan Bękalski; pojedziesz pan dobrodziej do tej ostatniej chałupy, co ją widać na lewo, za nią stoi figura, to pan dobrodziej weźmiesz się na prawo i prosto zajedziesz do Korytowa.

A cóż powiem o dopełnianiu obowiązków wiary?. Wcale tu nie pomyślano o Bogu i kościele, żeby przecie w dni niedzielne i świąteczne być na nabożeństwie; to też do kościoła rzadko chodzono. A po co było chodzić do kościoła, kiedy nie ma kapelusza dla jejmości, a pan jegomość niema kamizelki jak wypada. Cóżby dopiero pan Idzi szlachcic z sąsiedniej wsi Strubina powiedział, który stroi swą jejmość i jeździ bryczką w parę szkapiąt, żeby Jacentostwo z Parzyc spotkał tylko jadących wozikiem w jednego konia, gdyż drugiego sprzedano na jarmarku? A pfe!... krzyknie pani Jacentowa, póki życia nie zajrzę do kościoła, aż mieć będziemy bryczkę i parę koni. Ale gdzietam można było myśleć o bryczce i koniach dobrych, kiedy tu i na obuwie nie starczyło przy lenistwie i zaniedbaniu. Nie brano się tu do pracy, ani do bojaźni bożej i poczciwości, wszystko szło nieładem, przekleństwem, czarną zazdrością i nienawiścią, a próżnowanie jako matka wszystkich występków szerzyło się naokoło.

Taką to znajdujemy wieś Parzyce; teraz przystąpmy do treści opowiadania.

Między innymi mieszkańcami wsi Parzyce najwięcej tu zwracał na siebie uwagi Paweł

Guzoski, w środku wsi swoją siedzibę mający. Była to chałupa o dwóch izbach z alkierzem i małą sionką, kominem stożynowym zapadłym i dachem w połowie obdartym ze słomy; za domkiem stała mizerna stodółka tak rozłożona, że z niej był razem spichrz, szopa i chlewki dla trzody chlewnej. Pani Pawłowa z domu Sadłoska przyznawała się do bardzo wysokich kolligacyj; nieraz mawiała, że jej dziadek jeszcze za pierwszych francuzów wielkim miał być człowiekiem i posiadaczem znacznego majątku, a że ona teraz chusty poczciwej nie ma na grzbiecie i boso chodzić musi, to zawsze w niej krew szlachecka płynie, i woli spokojnie siedzieć sobie na przyźbie z założonemi rękoma, niźli chodzić na zagon plić lub do jakiej roboty w pole jakby chamka jaka. Ale śmieli się z tego inni sąsiedzi, bo znali panią Pawłowę, jako jej tam dawniej biedniejsze jeszcze było położenie, kiedy slugiwała za pokojową po różnych dworach i niepochlebnie o jej prowadzeniu prawili.

Bądź co bądź, jednak pana Pawła miano za najmajętniejszego posiadacza w Parzycach; chodził on zamłodu po różnych służbach, to lokajką to ekonomką, a że jakto mówią, umiał pamiętać o sobie i miał dobry węch na wszystko, uciuławszy trochę grosza, kupił fortunę w Parzycach, a poznawszy się z Elżbietką, gdyż swój na swego często trafi, taki tam z sobą się pobrali.

Pan Paweł był najmożniejszym ze szlachty Parzyckiej; miał włókę gruntu, kiedy inni w fortunkach swoich dorównać mu nie mogli, a że umiał trochę czytać, obrano go sołtysem; lecz on zawsze tę nazwę na ławnika zamieniał. Krętacz to był i wywijas, jakich mało na świecie; okpiwał drugich, ile mógł, zręcznie i rozważnie, ztąd też zawsze we wsi mawiano: hej panowie bracia! z panem Pawłem zdaleka, bo to z nim daleko nie zajdzie.

Państwo Pawłowstwo choć to taki tam rej w całej wsi wodzić chcieli, byliby z sobą nigdy nie mieszkali, bo nawet dla siebie samych nieznośnymi się stawali, gdyby ich nie łączył w jedno ogniwo ich syn jedynak Ignaś, którego na wielkiego człowieka wykierować zamierzali. Było to chłopię już pęitnastoletnie, a jeszcze czytać i pisać nieumiejące; posyłano go wprawdzie na naukę do organisty z Trąbina, ale gdzietam była wyrostkowi nauka w głowie, który już o psich figlach myślał?.. Nauczył się wprawdzie trochę czytać i pisać, lecz sprynce jego i psoty głośne były na całą wieś Parzyce. Każdemu on zalazł za skórę: zaczepiał chłopców i dziewczyny, na żydów przechodnich kamieniami ciskał, dzieci małe po drodze roztrącał, biednym nawet ptakom pokoju nie dał, łapał je na sidła i różne zasadzki, a nad złapanemi pastwił się najokrutniej. Byłoby może przyszło i do procesu z powodu Ignasia, bo to szlachta do tego jest pochopna, lecz się bali ojca jego, z którym niełatwo przyjść można było do końca.

— A co? wołała pani Pawłowa do męża, nasz Ignaś musi być księdzem, bo to takie tam potulne chłopiątko; jedyne nasze dziecko, niech go Bóg wspiera, a może co z niego wielkiego wyrośnie!

— He! moja żono, nie bluźnij przeciw Bogu, i jać nie bez ale, ale tak znowu nie można się najgrawać z Boga, żeby takiego wisusa na podobne rzeczy namawiać. A toć jemu co innego w głowie; huncwot dziś nawet rodziców nie umie uszanować, a cóż dopiero o reszcie gadać?.. hę?

I mówił prawdę pan Paweł, bo lubo sam chodził krzywą drogą, głos jednak jakiej takiej poczciwości odezwał się w jego sercu, aby miał wyrodnego syna na tak święty urząd namawiać... A jednak czegóż nie dokaże przewrotna matka? Tyle suszyła mężowi głowę, że wreszcie uciuławszy trochę grosza, a nie mogąc dla braku nauki wyżej go kierować, oddano go do klasztoru OO. Bernardynów w Ratowie.

— A cóż ty myślisz mój stary? wołała, zacierając ręce pani Pawłowa, Ignaś jak się weźmie do pracy, tak zobaczysz, na co wyjdzie; będzie sobie kwestarzem, a i z takich najczęściej na ludzi wychodzą.

Ale nie udały się zabiegi złego ojca i niepoczciwej matki. Ignaś i roku całego nie wysiedział w klasztorze; został dla niecnót zlamtąd wydalony nazawsze, a szlachta wsi Parzyc ze śmiechem to dawne przysłowie powtarzała:

Nie wytrwa ten w zakonie,
Którego cnota nie zdobi skronie.

Ignaś będąc tak źle prowadzony przez swych rodziców, przyzwyczaiwszy się od młodości do próżniactwa, stał się nieużytecznym

do każdego zatrudnienia. Zawsze mu państwo siedziało w głowie; nie chciał się wziąć ni do pługa, ni do kosy, ni też do jakiejbądź roboty, bo jej wcale nie umiał. Służył przez parę lat za lokaja po dworach, lecz będąc zawsze zuchwały i nieposłuszny, stracił wkrótce miejsce, a wałęsając się od domu do domu, w samej wsi Parzycach zasiewał niezgody, kłótnie i nieporozumienia między szlachtą. Państwo Pawłowstwo doczekali pociechy ze swego syna, bo ich bijał na ostatku i z domu wypędzał, tak, że dom Pawłowstwa był zgrozą i złym przykładem na całą okolicę. Koniec końcem, Pawłowie w rok potem umarli w ostatniej nędzy i poniżeniu u wszystkich, a ich syn Ignaś nic po nich nie odziedziczywszy, wdał się w handel końmi, a później z żydkami w różne spekulacye, tak, iż w kilka lat nędznie w więzieniu życia dokonał.

Takie to są skutki próżniactwa, lenistwa, dumy i zarozumiałości, które to wady tak są panujące w dzisiejszej szlachcie cząstkowej. Do dziś dnia stoi jeszcze chałupa w ziemię już wbita po Pawłach, a nikt jej zamieszkać nie chce; mówią niektórzy zabobonni, że słyszeli od starych ludzi, jako w niej coś zawsze w nocy przeszkadza, a Pawłowstwo ciągłe bójki ze swym synem staczają, dopiero na świtaniu wszystko niknie. Lecz ksiądz proboszcz powstawał na ten zabobon na naukach w kościele i dowodził, że żadnych strachów niema, a tylko przez złe postępki ludzie stają się naśladowcami złego ducha; złe zaś w długie lata zostaje w pamięci ludzi i taką odrazę sprawuje, że się i miejsc tych lękamy, które źli ludzie zamieszkiwali.

Po śmierci Pawłów pozostała szlachta Parzycka dla tychże samych przyczyn lenistwa zmarniała powoli; z piętnastu dymów jeden tylko ocalał choć był wprzód najszczuplejszy. Mieszkał w nim bowiem poczciwy i pracowity szlachcic pan Wawrzyniec Kunkowski; ten przez oszczędność, umiarkowanie i skrzętną pracę około roli potrafił powoli zakupić resztę fortun szlacheckich, a po kilkunastu latach stał się właścicielem całej wsi Parzyce. Chociaż wieś Parzyce jest dziś pieknym majątkiem, z porządnym dworkiem, kanałem, sadem owocowym i porządnemi zabudowaniami folwarcznemi i wiejskiemi, jednak państwo Kunkowscy bynajmniej nie chorowali na panów, ani się wstydzili uczciwej pracy. Pani Wawrzyńcowa jak tylko świt już jest na nogach, sama pobudzi sługi, idzie z niemi do krów, zajrzy do drobiu i w każdym kątku jej pełno. Pan Wawrzyniec bynajmniej nie da się wyprzedzić swej żonie w pilności, ale także bądź na polu, bądź w stodołach, wszędzie dotrze i dopilnuje wszystkiego. Dla ludzi swoich są rzetelnymi i sprawiedliwymi, nie przeciążają ich zbyteczną nad siły pracą, czuwają nad ich moralnością i swoim przykładem do cnoty i pobożności prowadzą. A co jest najchwalebniejszem i godnem naśladowania, że nigdy nie występują nad stan swój i wystrzegają się owej próżności w ubiorze i zaprzęgu. Jeżdżą zawsze sobie skromną bryczką do kościoła, ubrani przyzwoicie, bo się brzydzą strojami i zbytkiem.

Oby przykład państwa Kunkowskich wzniecił w was poczciwa cząstkowa szlachto obrzydzenie lenistwa, próżniactwa i uganiania się za jakiemś państwem, kiedy tylko praca, dopełnianie obowiązków stanu i bojaźń Boża czynią człowieka zacnym i szacownym. I czyż to czyni człowieka lepszym że naprzykład pani Jacentowa chodzi w kapeluszu atłasowym z kwiatami, a pani Antoniowa tylko w czepku, lub też kapeluszu słomkowym, kiedy ją nie stać na to? albo, jeśli pan Idzi na włóce gruntu jeździ bryczką w parę koni, a pan Walenty na pół włoczku piechotą?.. O nie!.. postępki tylko dobre, pilność i pracowitość wywyższają człowieka; lecz przeciwnie, gdzie zazdrość, próżność i chęć wyniesienia panuje, tam wszystko wniwecz się obraca i dozna zasłużonej kary Bożej, czego macie przykład na Pawłach.

Grzmoty i pioruny.

Znane jest u nas dobrze przysłowie: *strzeżonego Pan Bóg strzeże*; uczy ono nas, żeśmy się powinni chronić niebezpieczeństwa i szkodliwych rzeczy, a zarazem, że w razie niebezpieczeństwa sami się ratować mamy, ile nam siły i rozumu starczy, a nie to tylko prosząc Boga, żeby nas ratował, ale i używając środków przez sztukę lekarską nam wskazanych.

Bo na cóż to Pan Bóg dał rozmaite zioła, pomocne lub szkodliwe, jeżeli nie na to, aby je człowiek dokładnie poznał i jednych używał, a drugich się wystrzegał? Nieraz słyszeć się daje mówiących, gdy usłyszą, że kogoś jakie nieszczęście spotkało: *Pan Bóg tak chciał*; a czyż to się tak mówić godzi o Bogu, albo to On nie jest wszystkich najlepszym ojcem? Niedajeż nam wszystkim środków ratowania i zachowania życia? Człowiek może powiedzieć, że nie mógł, nie umiał, lub nie zdołał uratować się, powie wtenczas rozsądnie i Pana Boga nie obrazi; lecz gdy w jakiem nieszczęściu opuści ręce, nic nie robi, nic sobie nie radzi, tylko zmiłowania Boskiego czeka, wtenczas ciężko przeciwko Panu Bogu grzeszy.

Tak więc radzić sobie i ratować zawsześmy powinni; ale do tego trzeba mieć sposoby i środki, któreby nas od szkód uchroniły. Zamieszczamy tu zatem przestrogi tyczące się piorunów i jak uniknąć niebezpieczeństwa z ich uderzenia.

Błyskawica, grzmot i piorun są to zjawiska z jednej pochodzące przyczyny. Materya niewidzialna zwana *elektrycznością*, gdy się w wielkiej ilości nagromadzi w chmurze, raz przebiega cicho z jednej chmury do drugiej w postaci światła, i to się nazywa *błyskawicą*, drugi raz taż materya przebiega z chmury jednej do drugiej z mniej więcej mocnym łoskotem, hukiem i to zowiemy *grzmotem*; gdy zaś taż materya elektryczna przebiega z chmury do ziemi i uderza w dom, drzewo, człowieka lub inny przedmiot, nazywamy to *piorunem*, a ten uderza zwykle z łoskotem i błyskawicą. Elektryczność rozlana jest po całem powietrzu, ziemi i w tem wszystkiem, co się na ziemi znajduje; tę zaś ma własność, że gdy się zbierze w jednem miejscu np. w chmurze, usiłuje się złączyć z elektrycznością innego ciała bliskiego, a przebiegając z jednego miejsca do drugiego, obiera zwykle drogę najkrótszą. Jeżeli na owej drodze znajduje się człowiek, to przejdzie przez niego, czyli w człowieka uderzy piorun; jeżeli więc człowiek strzedz się będzie na takich drogach znajdować, to weń piorun nie uderzy. Mylą się ci prostaczkowie, którzy sądzą, że przed piorunem schronić się nie można; owszem można uniknąć tego ciosu, lecz trzeba wiedzieć, jakim sposobem. Gdyby człowiek w otwartem polu będący, mógł się nakryć takiem naczyniem szklanem, jakiego używają ogrodnicy do przykrywania delikatnych flanców, byłby bezpieczniejszy, jak pod nieprzebitą żelazną blachą. Elektryczność to ma szczególnego, że po jednych ciałach łatwo przebiega, a po drugich wcale nie przechodzi; i tak przez każdy metal z największą przebiega łatwością, trudno zaś przechodzi przez żywicę, szkło, suche powietrze. I dlatego to przeskakując z jednego ciała do drugiego, wydaje niejaki łoskot, bo przebiega przez suche powietrze, a gdy przechodzi po metalu, nie wydaje żadnego szelestu. Po lnianem płótnie przechodzi łatwiej, a wcale nieprzechodzi po jedwabiu; dlatego okrywszy się jedwabnemi sukniami, można być bezpieczniejszym od piorunu. Z największą łatwością, jak to już wspomnieliśmy, elektryczność przechodzi przez metale; dlatego też stawiają na budynkach żelazne *piorunochrony* (konduktory), aby elektryczność przez nie przechodziła i nie uszkadzała samych budynków.

Wystawmy sobie, że nad jaką okolicą unosi się chmura 100 sążni wysoko, mocno elektrycznością naładowana; jeżeli od tej chmury bliżej jest do ziemi, niż do innych chmur, pewni jesteśmy, że piorun uderzy w ziemię i w miejsce najbliżej chmury będące, a zatem prędzej w górę niż w dolinę; jeżeli zaś pole równe, prędzej uderzy w drzewo i to najwyższe w lesie, w gruszkę na otwartem miejscu stojącą, w dom, lub jakie zabudowanie, w kopę zboża, stóg siana, w idącego lub jadącego człowieka, bo wszystkie te przedmioty są najbliżej chmury. Dlatego to często słyszymy, że piorun zabija ludzi chroniących się pod gruszki i inne drzewa na polu stojące, pod stogi siana, lub pod kopy i mendle zboża.

Jeżeli więc kogo zaskoczy burza z grzmotami w polu, nie powinien się kryć pod przedmioty wyniosłe, a zatem, jeżeli jest w lesie, niech stanie pod nizkim krzakiem, a nie wysokiem drzewem. Niebezpiecznie jest prędko biedz lub jechać na otwartem polu, kiedy grzmi, bo wtedy najprędzej uderza piorun w biegnącego lub jadącego; stanąć wtedy potrzeba, wysiąść z powozu i nie pod nim, lecz o kilka kroków od powozu usiąść. Gdy się zanosi na grzmoty, odrzucić od siebie wszelkie narzędzia żelazne, np. kosę, sierp, siekierę.

Ludzie podczas burzy w domu będący, powinni pozamykać drzwi i okna, aby nie było przeciągu powietrza. Jeżeli się ogień pali na kominie lub w piecu, przygasić go natychmiast, a nawet lufty w kominach poprzytykać. Trwożliwi ludzie w czasie błyskania lękają się; niech będzie spokojny ten, który ujrzy błyśnienie, bo piorun już gdzieindziej uderzył, bo huk potem dopiero słyszeć się daje. Patrząc na człowieka, który o 2 wiorsty z broni strzela, ujrzymy błyśnięcie i dym z lufy, a potem dopiero huk strzału; tak samo piorun uderza wraz z błyśnięciem, a im uderzył dalej, tem później słyszymy huk; przeciwnie zaś, im prędzej po błyśnięciu huk słyszymy, tem bliżej nas piorun uderzył.

Piotr Skarga.

Sławny ten na całą Polskę kaznodzieja i pisarz, urodził się w r. 1536. Rodzinne jego nazwisko było *Pawęzki*; dziad Piotra doznając krzywd ciężkich, gdy się często przed *Januszem* ostatnim z książąt Mazowieckich skarżył, taką raz otrzymał odpowiedź: wszystko się uskarżasz miły Pawęzki, moglibyśmy cię *Skargą* nazwać. Tak więc Pawęzki dostał *Skargi* przydomek, a nasz kaznodzieja opuściwszy rodu swego nazwisko, *Skargą* się tylko podpisywał.

Początkowe nauki pobierał w Gródku Mazowieckim, w 17 roku życia wszedł do akademii Krakowskiej. W roku 1563 wstąpił do stanu duchownego, otrzymał probostwo rohatyńskie i kanonią lwowską. Za powrotem z Rzymu w 1571 r. wstąpił do zakonu Jezuitów. Przy Zygmuncie III królu Polskim przez lat 25 pełnił obowiązki nadwornego kaznodziei. Umarł dnia 26 września 1612, przeżywszy lat 76, pochowany w kościele świętego Piotra w Krakowie.

Ze wszystkich kaznodziejów, opowiadaczy słowa Bożego i nauki Chrystusa, Skarga wzniósł się najwyżej nietylko prostotą, a wzniosłością wymowy, ale tak cudnym językiem Polskim, że dziś jeszcze pozostał dla piszących wzorem. Jemu też ojczysta mowa nasza bardzo wiele winna. Za życia Skargi była moda pisania połacinie. Gdy naszemu kaznodziei radzono, aby w tym języku pisał, czemby sobie za granicą u obcych narodów sławę zjednał, te słowa godne pamięci wyrzekł:

Język łaciński już jest stary i od wieku wieków dojrzały; nasz młody, ukształcenia potrzebuje; wreszcie polak jestem, dla polaków tylko żyję, myślę i piszę.

Ktokolwiek wszedł do jego izby, dziwił się, że tak ubogie było łóżko, stoły i wszelkie sprzęty, a gdy mu mówiono, że nie takie powinien mieć kaznodzieja królewski mieszkanie, „ale takie ubogi zakonnik“ odpowiadał z pokorą Skarga.

Dla ubogich był opiekunem i ojcem, w Krakowie założył celem ich wsparcia zakład pobożny.

W kazaniach swoich nie żałował słów prawdy; złe w narodzie, jak wady, zbytki i występki karcił publicznie, nie oglądając się ani na wielkość panów, ani ich znaczenie. Nigdy ust świątobliwego męża nie splamiły nikczemne pochlebstwo, lub podła bojaźń. Jakże wymownie opowiada wielkość Boga i nieustającą jego dobroć i hojność:

„Mała radość i wielka omyłka, gdy dufamy ludziom, którzy wyrwać nas ze wszystkich przygód nie mogą. Wszystkiej ziemi król, deszczu nam nie da, abyśmy głodem nie umierali, wojska nieprzyjacielskiego powietrzem i niepogodą nie zarazi, w pół morza tonących nie wyrwie, wodom w górę się podnieść i jako mury stanąć nie rozkaże, chleba na ludek zgłodzony nie rozmnoży; nie taki jest Bóg nasz, nie tak mała i skrócona moc Jego.! To wszystko czynił i czynić może, i nic Mu nie jest niepodobnego. I wielki, a wielkości jego końca nie masz, przemożny, a mocy jego żadna trudność i niepodobność nie mierzy. Błogosławiony, który takiego Pana ma i takiemu dufa. Błogosławiony lud, który ma takiego Boga, a nadzieja jego w tym, co stworzył niebo, ziemię, morze i wszystko co w nich jest, który tem, co stworzył, sam władnie i temu rozkazuje, i to go wszystko słucha; a on to trzyma, odmienia, niszczy, naprawia, rządzi, jako mu się podoba.

Nie jeden czas, ani na rok, ani na tysiąc lat, ale wiecznie i zawsze Bóg dzieci swoje słucha i wspomaga. Moc jego nie starzeje się, zawsze jednako kwitnie w nim, zawsze siła

jego potężna jest na pomoc naszą. Dobroć jego od narodu do narodu, nigdy się sobie uprzykrzyć nie da, nigdy nas sobie nie omierzi, nigdy się nie odmieni; zawsze dobry, na wieki trwa miłosierdzie jego nad nami. Skarb jego darów przebrany nie jest, nie mają końca bogactwa jego, nigdy ich nie wybierzem. Ojcowska miłość jego ku dzieciom nigdy się nie mieni; szczodrobliwa ręka jego nigdy się ani kurczy, ani zamyka; od roku do roku, aż na wieki pomoc daje tym, którzy nadzieję w nim mają".

Gorącem słowem ujmował się za biednym stanem chłopków naszych, groził srogim gniewem Boga i przepowiadał straszny upadek narodu. Gdy raz na rozrzutność i zbytki sług kościoła z ogniem i wymownie powstawał, synowiec tego, od którego ukrócenie tych nadużyć zależało, zaczaiwszy się na wracającego do domu kapłana, wyciął mu policzek. Na tę obelgę Skarga słowy Zbawiciela odpowiedział: Jeżelim źle mówił, daj świadectwo o złem.

Król Zygmunt trzeci dowiedziawszy się o zniewadze swemu kaznodziei wyrządzonej, hardego młodzieńca na śmierć skazał; Skarga niepomny urazy, wyprosił mu życie. Styrany pracą, zaszły w wiek sędziwy, jakby przeczuwając śmierć blizką, porzucił dwór królewski, który drżał nieraz, gdy wszedłszy na ambonę, wymownie gromił każde złe, każde przeciwne zakonowi Chrystusa postępowanie. Zamknął się w celi zakonnej w Krakowie, i w niej po trzech miesiącach spoczynku umarł. Przy ostatnich chwilach jego życia nie odstępował go kapłan, znakomity kaznodzieja, dominikan Fabjan Birkowski, który go czcił, szanował jak ojca i uczcił pamięć jego wybornem kazaniem; w niem te słowa prawdy o zmarłym Skardze wyrzekł:

„Nie rychło takiego kaznodzieja Polska nasza obaczy, który serca ludzkie trzymał w ręku swych i obracał niemi kędy chciał, przez dziwną, a jemu tylko daną wymowę".

Oprócz kazań pozostawił księgę *żywotów świętych starego i nowego testamentu*, którą pobożni do dziś dnia z wielkim odczytują pożytkiem.

Wiadomość o szkole rolniczej praktycznej w Retowie na Żmudzi.

Uważając za jedno z ważnych swych zadań, skrzętne zbieranie wiadomości o zakładach dobro ludzkości mających na celu, Czytelnia Niedzielna z prawdziwą pociechą pospiesza podzielić się ze swymi czytelnikami otrzymaną świeżo wiadomością o otworzeniu w miesiącu styczniu r. b. za zezwoleniem Rządu, w pobratymczej nam Żmudzi, w majętności *Retowie*, szkoły rolniczej praktycznej dla ubogiej młodzieży szlacheckiej i włościańskiej. Właściciel tego majątku książe Ireneusz Ogiński, na użytek tejże szkoły przeznaczył odpowiednią znaczną przestrzeń gruntów i łąk, blisko cztery włóki litewskie wynoszącą. Wystawił własnym kosztem dom na pomieszczenie nauczycieli i uczniów, tudzież inne zabudowania gospodarskie, na składy zboża, siana i t. p. Wybudował niemniej obory do chowania ulepszonej rasy bydła, które na początkowe zaprowadzenie szkole ofiarował, równie jak machiny i narzędzia rolnicze.

W bieżącym roku założyciel szkoły utrzymuje w niej własnym kosztem pięciu uczniów stanu szlacheckiego, dając im pomieszkanie, opał, stół i odzież, a piętnastu uczniów włościan mają bezpłatny lokal, opał i naukę. Nauki dzielą się na kursa trzyletnie i wykładane są w języku żmudzkim, aby tem łatwiej i skuteczniej korzystać z nich mogła młodzież włościańska. Oprócz tego dawniej już założył książę Ogiński w dobrach Retowie szkołę parafialną o dwóch klassach, do której uczęszczają synowie ubogiej szlachty tudzież włościan, nietylko z tych dóbr, ale i z sąsiednich. Również nakładem księcia od lat kilkunastu utrzymuje się każdorocznie pięćdziesięciu uczniów przy Gimnazyum Gubernialnem w Kownie, synów niezamożnej szlachty tejże gubernii, z których wielu po ukończeniu całkowitego kursu gimnazyalnego znalazło przyzwoity sposób życia w rozmaitych zawodach, z pożytkiem dla siebie i rodzin swoich, a z chlubą dla czcigodnego dobroczyńcy. Oby szlachetny ten przykład znalazł wielu naśladowców!

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 27 lipca (8 sierpnia) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.